

MARTA BACIC

PEŁNA MAGII, TAJEMNIC
I NAMIĘTNOŚCI POWIEŚĆ
ROMANTASY, OD KTÓREJ
NIE ODERWIESZ SIĘ AŻ
DO OSTATNIEJ STRONY

SKAZANI NA ŻYCIE



MARTA BACIC

SKAZANI NA ŽYCIE





PROLOG

Nieważne, w jak głębokim bagnie wylądowałby Etnis, Efra i tak nie pomyślałaby, że mógłby skończyć z wisielczą pętlą na szyi.

Tymczasem w strugach deszczu sunęła przez tłum na placu w Wolnym Mieście. Miała wrażenie, że znajdowała się w alternatywnej rzeczywistości. Głosy zdawały się obce i odległe, jakby dochodzące zza jakiejś niewidzialnej zasłony. Chociaż wiedziała, że otaczająca ją chmara ludzi szeptała o jej aresztowanej miłości, to ostatecznie nic do niej nie docierało. Była świadoma, że nie powinna tu przychodzić, że może przez to również skończyć na stryczku, a pomimo tego wciąż parła do przodu, by znaleźć się bliżej szubienicy. Musiała go zobaczyć.

Zamarła na chwilę, kiedy na podest wprowadzono trzech mężczyzn. Naciągnęła mocniej kaptur na swoje świeżo farbowane czarne włosy. Czarnoskóry, mocno umięśniony swalahijczyk ledwo trzymał się na nogach, poganiany przez pomocników kata. Za nim wleczono starszego mężczyznę, bladego jak ściana, z chudymi nogami tak drżącymi, że zachowanie na nich pionu przychodziło mu z trudem.

Ostatnim ze skazańców był on.

Etnis spokojnie zajął miejsce wskazane mu przez oprawcę, a burmistrz uciszył tłum donośnym dźwiękiem gongu. Herold zaczął obwieszczenie. Jej partner stał pewnie, z wypiętą piersią patrzył beznamietnie przed siebie, jakby po prostu czekał na załatwienie jakiejś formalności. Po dziesięciu dniach aresztu jego czarne, lekko przydługie włosy zmieniły się w tłuste, matowe strąki, a niechlujny zarost odejmował mu naturalnego wdzięku, przysłaniając kwadratową szczękę. Dla Efry to było jednak bez znaczenia. Poczula przede wszystkim ulgę, że nie wyglądał na wymęczonego torturami, że w ostatnich dniach życia nie musiał cierpieć. Wzdrygnęła się na tę myśl; podświadomie nie chciała wciąż uwierzyć, że Etnis zaraz zginie na jej oczach, chociaż wyraźnie widziała, jak pierwszemu ze skazańców zakładano pętlę na szyję.

– Edryk van Halm, prefekt prowincji Huskar, skazany na karę śmierci za rażącą niesubordynację wobec rozkazów autorytetów Konfederacji. – Herold kontynuował odczytywanie werdyktu, kiedy nakładano sznur na szyję drugiego skazańca. – Wskutek niedostosowania się do nowych regulacji utracono kilka tysięcy racji żywnościowych o równowartości sześciuset złotych koron.

Efra przełknęła ciężko ślinę, gdy burmistrz posłał Etnisowi krótkie spojrzenie, a kat zbliżył się ze sznurem. Ktoś wbił jej przypadkiem łokieć między żebra, ale prawie tego nie zauważyła, wpatrując się w spokojną twarz swojego mężczyzny.

– Anton Aldechus, skazany na karę śmierci za zamordowanie dwudziestu dwóch funkcjonariuszy, jednego parlamentarzysty i trzech cywilów, a także za próbę napaści na Skarbiec Konfederacji Triady oraz za zniszczenia z tym związane pociągające za sobą koszt w wysokości tysiąca pięciuset złotych koron.

Efra rozchyliła usta, zdziwiona, że nazwano Etnisa jednym z mniej znaczących imion, jakimi się posługiwał, ale nie mogła narzekać; przedstawione liczby sugerowały, że wyrok wydano jedynie za ich nieudany napad na skarbiec. *Chociaż mogą po prostu*

nie chce zdradzać skali jego działania, pomyślała, ale nie przejęła się tym – to, ile wiedzieli, nie obchodziło jej kompletnie. Nie obchodziło jej nawet, czy będą ją ścigać. Lub czy ją złapią.

Jeżeli on zginie, nic już nie będzie jej obchodzić.

Tłum ożywił się niecodziennym skazańcem – w końcu przyznano, że nastąpiła próba napadu na jeden z najbardziej strzeżonych skarbców Nowego Kontynentu. Poruszenie rozmawiających z przejęciem ludzi, to, jak się rozpychali, by lepiej widzieć, zirytowało Efrę. Odephnęła łokciem natarczywego mężczyznę, który prawie na nią wpadł. Zignorowała jego oburzone spojrzenie i w samą porę uniosła ponownie wzrok na Etnisa.

Wydawał się patrzeć dokładnie w jej kierunku.

Wstrzymała oddech. Kiedy uśmiechnął się blado, z pętlą na szyi, nie mogła już powstrzymać łez. Z całych sił zdusiła chęć krzyku; wiedziała, że to by go rozczarowało. Jej łzy zmieszały się z kroplami deszczu. Płakała bezgłośnie, kiedy kat zacisnął dłoń na dźwigni. Strażnik wręczył pistolet podłysiałemu burmistrzowi, a ten prawie natychmiast podniósł broń i pociągnął za spust. Efra zadrżała; nie spodziewała się tak szybkiego wystrzału i nie zdołała powstrzymać jęku, który opuścił jej usta, gdy zwalniano blokadę.

Na oczach tłumu zginęło trzech mężczyzn, w tym miłość jej życia.

Kolejne dni zlały się w jej pamięci w jedno słowo: pustka.

Na początku wciąż wykazywała resztki instynktu samozachowawczego. Wpadła do jednej z kryjówek, tej, której używali najrzadziej, i zebrała trochę wyposażenia. Pas z nożami. Rewolwer. Proch. Kilka sztuk neutralnych ubrań, parę porcji suszonego mięsa, a do tego garść złotych koron. I chociaż mogła zabrać więcej rzeczy, to jednak nie chciała przyciągać uwagi i kusić zło-

dziejskiego losu.

Następnie opuściła stolicę i udała się do pobliskiego Burnmill. Wśród kupców z różnych regionów Triady nie rzuciła się zbyt w oczy ze swoim wypchanym plecakiem, wyglądała jak zwykła dziewczyna na posyłki.

Czuła jednak, że słabnie. Jej oddech stawał się coraz płytszy, a każdy krok sprawiał coraz bardziej nieznośny ból. Ona tu była, kiedy jego tu już nigdy nie będzie. Ani tutaj, ani nigdzie indziej. Wędrowała przed siebie, jednak bez konkretnego celu. Powinna zniknąć, zaszyć się na jakiś czas, usunąć z pola widzenia Konfederacji i całego świata, odczekać. Ale po co? Na co miałyby czekać?

Wynajęła małą izbę na jedną noc, by z rana ruszyć dalej, ale utkwiała tam na kilka dni. Ile? Nie miała pojęcia; nie chciała pytać o datę, żeby nie wiedzieć, jak dużo czasu minęło od jego śmierci. Stała przed lustrem i ochlapała twarz zimną wodą, by zmyć zaschnięty brud, w którym lży wyrzeźbiły cienkie strużki.

Spojrzała w swoje zielone, puste, zaszklone oczy. I chociaż jej twarz była czerwona i opuchnięta, wciąż wydawała się konwencjonalnie ładna, z wysokimi kośćmi policzkowymi widocznymi nawet spod obrzęku oraz drobnym, choć obdartym od wycierania nosem. Sięgnęła drżącą ręką po szczotkę i przeczesła czarne włosy, do których koloru jeszcze się nie przyzwyczała, a już zdążyły okrutnie zmatowieć.

Muszę się ogarnąć, pomyślała, po czym skrzywiła się na trywialność tego stwierdzenia. Popatrzyła na siebie ponownie. Kim teraz będzie? Z Etnisem została Efrą Blake. W końcu decydowała o sobie, nareszcie mogła być silna, niezależna. Razem potrafili dokonać wszystkiego. Niczego nie dało się przed nimi obronić, schować czy zabezpieczyć. Jeżeli zapragnęli coś zdobyć lub osiągnąć, nie pytali, jak to zrobić, tylko jak szybko się to uda. Pomimo nieustającego zagrożenia czuła się przy nim bezpieczna. Choć miał wiele twarzy, znała tę, do której wyłącznie ona miała

dostęp, i to jej wystarczało. Twarz nieskończonej akceptacji i miłości, z chłodnym dystansem w tle; twarz, która pokochała ją za to, co sobą reprezentowała i jaka naprawdę była, nie za to, jak wyglądała i jaki tytuł nosiła. Etnis nieświadomie pomógł jej wydość się z więzienia, jakie niegdyś stanowiła ona sama – Olyanna Lucia Cross'tilo.

Czy bez niego wciąż mogła być Efrą? Powrót do Olyanny oznaczałby porażkę. Natychmiast zganiła się za te myśli – przecież to, że pozwoliła Etnisowi umrzeć, powinno stać się jej życiową klęską. Cokolwiek by teraz zrobiła, to on był prawdziwym fundamentem jej obecnej tożsamości. Owszem, Efry nie pętały żadne ograniczenia, w przeciwieństwie do bezwolnej Olyanny, ale bez swojego twórcy wydawała się jedynie żalonym, nędznym przedstawieniem, którego nikt nie chce oglądać. Łącznie z nią samą.

Po niedbałym obmyciu zarzuciła obszerny płaszcz, wsadziła do kieszeni złocisz i zmusiła się do wyjścia z izby. Zasłoniła dłonią oczy, gdy oślepiły ją promienie dawno niewidzianego słońca, ale po chwili ruszyła w stronę lokalnego targowiska. Stała przed jednym ze straganów, wpatrując się tępo w lśniące jabłka i winogrona, pakunki z kawą i herbatą, a także suszone szynki i ciasto z rodzynkami.

Powinnam coś zjeść, pomyślała. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz miała coś w ustach. Pomimo dobrych chęci zawiesiła wzrok na butelce wódki. *To nie jest rozwiązanie*, powiedziała sama do siebie, po czym parsknęła. Przecież nie istnieje na tym świecie żadne rozwiązanie, które przywróciłoby Etnisowi życie, więc czemu nie?

– Poczekaj, kochanieńka! Tak, ty, ptaszyno! – zawołała ją starsza kobieta ze straganu, gdy Blake chciała już wracać z pakunkiem wypełnionym jedzeniem i wódką. – Zatrzymaj się, mam coś idealnego dla ciebie!

Efra jednak ruszyła przed siebie, wlokła się noga za nogą, po-

grążona w czarnych myślach. Sprzedawczyni podbiegła i poklepała ją po ramieniu, czym zwróciła w końcu jej uwagę.

– J-ja? – wyjąkała niechętnie, ale ciągnięta za rękaw, zbliżyła się do straganu.

– Sprzedaję ten towar od jakiegoś czasu i muszę przyznać, że schodzi niczym ciepłe bułeczki! Nie myślałam, że mamy tak wiele trosk w Burnmill, no ale, jak to mówią, życie... – Sprzedawczyni nie przestawała świergotać, grzebiąc jednocześnie w worku pod ladą. – W każdym razie te ziółka to błogosławieństwo. Sama je piłam, kiedy mojego męża składała czarna mora. I powiem ci, skarbie, że gdyby nie one, to nie wiem, czy byłabym zdolna utrzymać się na nogach. Nie będę pytać, co przytrafiło się tobie, ale od razu pomyślałam, że ci się przydadzą.

– Dziękuję, nie potrzebuję...

– Tutaj są! – przerwała jej staruszka, tryumfalnie wyciągając saszetkę z suszonym ziołem. – Na pewno poczujesz się lepiej, a ja nawet cenę obniżę. Co do składu, daj mi chwilkę, tutaj miałam spisany. Gdzie ja to posiałam, ach, tak!

Efra przygryzła wargę. Musiała wyglądać jak siedem nie-szczęść, skoro ktoś wciskał jej ziółka na „uspokojenie i troski”. Popatrzyła na sprzedawczynię, która energicznie wymieniała nazwy składników, odczytując je ze skrawka zmalretowanego papieru. Blake czym prędzej wcisnęła kobiecie kilka miedziaków i bez słowa wzięła saszetkę. I chociaż nie miała pojęcia, czy zielsko zadziała, to pozornie zatroskana staruszka była nadspodziewanie zawziętym sprzedawcą. Zasłużyła na zarobek, a Efrze przecież było obojętne, na co wyda tych parę monet.

Prędko wróciła do wynajętej izby. Usiadła ciężko na tapczanie i zaczęła pochłaniać ciasto z rodzynekami, popijając je od czasu do czasu ohydną wódką. Kiedy skończyła jeść, ściągnęła w końcu płaszcz i ze zdumieniem stwierdziła, że czuje się trochę lepiej. Podejrzliwie zerkała to na butelkę, to na swoje żalosne odbicie w lu-

strze. Zdmuchnęła pasmo włosów z czoła i wzięła kolejny łyk alkoholu, zadowolona z tego, jak kojąco na nią wpłynął.

Na krótką chwilę wróciła ta dawno niewidziana iskra chęci do działania. Mogłaby spełnić marzenie Etnisa. Mogłaby ukraść coś, czego ukraść się nie da; uczcić jego pamięć.

Zatopiona w rozmyślaniach o dokończeniu skoku na konfederacki skarbiec, zalała ziółka doniesionym przez dziewczkę służebną wrzątkiem. Ponownie zajęła swoje miejsce na tapczanie i zaczęła powoli sączyć gorący napar. Był obrzydliwy i mieszał się z posmakiem wódki, ale nie krzywiła się zbyt mocno. Nagle jej serce znów przyspieszyło na myśl o dopełnieniu spuścizny Etnisa – co dałoby świetny pretekst, by pozostała Efrą – jednak entuzjazm równie szybko ostygł.

To było marzenie Etnisa. Tylko że on nigdy nie przyzna, jak dumny jest z tryumfującej Efry. Nie uśmiechnie się, nie pocałuje jej, w jego oku nie pojawi się ten błysk satysfakcji, który powodował, że czuła się najszczęśliwsza na świecie. Wtem zrozumiała to jaśniej niż przez ostatnie dni: on nie wróci. Popelnili błąd, ona na to pozwoliła, a teraz on nie żyje. Ten jeden raz powinna była się sprzeciwić... Dokończenie skoku nie przywróci mu życia. Nie cofnie czasu.

Łzy znowu pociekły po jej twarzy, choć nie łkała; odstawiła pusty kubek po ziółkach i sięgnęła z powrotem po alkohol. Wzięła spory, piekący łyk. Chociaż miała wrażenie, że środku przyćmiły ból, to jednak pustka była i tak coraz trudniejsza do wytrzymania.

Do tego odnosiła wrażenie, że świat wokół niej zwolnił. Po przebłyску entuzjazmu nie pozostał nawet ślad.

Z wahaniem sięgnęła po plecak i wyjęła zwinięty skórzany pas z jego ulubionymi nożami. Przyjrzała im się po kolei, pociągając nosem. Przejechała delikatnie dłonią po rękojeści, aż w końcu wyciągnęła broń, by podziwiać nienaganne naostrzenie i misterne zdobienie pismem egrijskim na krawędzi. Zatęchłe po-

wietrze wokół niej zgęstniało jeszcze bardziej, jakby zawisł nad nią jakiś omen.

Z wyuczoną płynnością, pomimo swojego upojenia, przerzuciła nóż z jednej dłoni do drugiej. Czy znalazła wyjście z jej sytuacji? Nie. Ale nie istniało żadne inne rozwiązanie. Nie było celu, nie było szczęścia, nie było nadziei.

Powoli docierało do niej, że bez niego czuła się nikim. Tak, jakby cofnęła się o pięć lat, a nawet więcej. To, co osiągnęła, to, kim się stała jako Efra Blake, wydawało się integralną częścią Etnisa. Jakby nie miało prawa istnieć samodzielnie.

Rozchyliła koszulę i przybliżyła nóż do klatki piersiowej, a zimna stal zawisała dokładnie nad sercem, które zdawało się szamotać pod uciskiem niewidzialnej dłoni. Kropla krwi spłynęła leniwie po jej skórze.

Efra nie chciała niczego więcej. Nie była gotowa na tę pustkę, nie chciała się mierzyć z nową sobą, nie chciała cierpieć. Coraz mocniej docierało do jej świadomości, że boi się bycia nikim, że to nie tylko żaloba, ale samolubny strach. Czy była tchórzem? Oczywiście, że przemknęło jej to przez głowę. Ale komu miała coś udowodniać?

Nieznośny szum rozsadzał jej pulsujące skronie, a oddech stał się urywany. Czuła, że słabnie, że opuszczają ją siły.

– Pieprzyć to – szepnęła drżącym głosem, unosząc ostrze.

Wzięła głęboki, ostatni oddech i... przebiła sobie serce.

Miażdżący ból eksplodował w klatce piersiowej, a krew cienkimi strużkami spłynęła na podłogę. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że to fizyczne cierpienie dobrze odzwierciedlało jej stan – tak właśnie się czuła, kiedy widziała go opadającego bezwładnie na sznurze.

Zamknęła oczy, gotowa do wiecznego snu, i oddała się powoli ciszy i ciemności.

Oczekiwała, że pójdzie w stronę światła, dokładnie tak jak

w legendach, widziała jednak tylko czarną pustkę. Była nikim. Tak jak całe życie przed Etnisem usiłowała być niewidoczna, tak teraz stała się tą niewidocznością. Nieistnieniem. A więc to tak wygląda koniec? Rozczarowujące.

Jej umysł ostatecznie zamilkł.

Po kilku minutach – a może spokojnej wieczności – szarpnął nią przeszywający ból. Serce zaczęło ponownie bić, zaciskając i rozkurczając się wokół ostrza. Efra otworzyła oczy, łapiąc głęboki oddech, który wstrząsnął jej ciałem. Mimowolnie położyła zakrwawione palce z powrotem na rękojeści i wrzeszcząc wniebogłosy, wyciągnęła sztylet. Rozdarty mięsień sercowy zaczął się powoli zasklepiać. Drżała spazmatycznie, aż w końcu, otulona chmurą ciemności, schowała twarz w pokrytych posoką dłoniach i znów zapłakała.



1

Efra sunęła lekko po dachu, balansując ramionami. Zatrzymała się nagle i zachwiała delikatnie na prawą stronę, po czym dość szybko odzyskała równowagę. Westchnęła, postawiła kilka kolejnych kroków i zsunęła się zręcznie ku krawędzi. Przycupnęła, zmrużyła oczy w nieśmiałym świetle półksiężyca i zaczęła obserwować kamienicę naprzeciwko.

W żadnym z okien nie paliło się światło. Efra lustrowała je jedno po drugim, aż w końcu zawiesiła wzrok na uchylonym skrzydle. Bingo. Kiedy wczoraj usłyszała na mieście narzekanie którejś z podstarzałych guwernantek rodziny Burlych, jak to nocne fale gorąca przeszkadzają jej spać w spokoju, przez co musi bez przerwy wietrzyć swoją kwaterę, od razu wiedziała, że to będzie najszybsza droga dostania się do środka.

Oceniła dystans między dachami i stwierdziła, że nawet bez rozbiegu – na który zresztą nie miała wystarczająco dobrych warunków – odległość była wciąż do pokonania, choć bardziej problematyczna, niż zakładała. Spojrzała na bruk ulicy w oddali i oszacowała, że upadek raczej byłby śmiertelny w skutkach, jednak... Wzruszyła ramionami. O ironio, na szczęście jej niedawne samo-

bójstwo nauczyło ją czegoś pożytecznego: przestała się bać śmierci. Jak spadnie, to spadnie.

Możliwe też, że nie zależało jej na niczym i przestała się po prostu ludzić.

Przymierzyła się do skoku i wybiła w powietrze. Chwyliła się barierki balkonu pod uchylonym oknem, a metalowe pręty zaskrzypiały, próbując unieść jej ciężar. Skrzywiła się, ale szybko stanęła na barierce, po czym, używając wystających zdobień, wspięła się piętro wyżej. Otworzyła szerzej okno i wskoczyła do ciemnej, niewielkiej sypialni.

Zamarła na chwilę po wylądowaniu na podłodze, przyzwyczajając wzrok do półmroku. Poprawiła skórzane rękawiczki i rozejrzała się po wnętrzu. Starsza kobieta spała w najlepsze, lekko pochrapując w zmiętej pościeli. Złodziejka wyrzała ostrożnie na długi korytarz, oświetlony tylko niewielką gazową lampą.

Zamknęła za sobą drzwi i powoli skierowała się do trzeciego pomieszczenia od końca, uważnie nasłuchując. Według jej krótkiego rekonesansu powinna to być sypialnia samej matrony. Pociągnęła za klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte. Zdusiła kolejne westchnienie i sięgnęła po wytrychy. Nigdy nie przepadała za tą czynnością, ale im bardziej czegoś nie lubiła, tym mocniej Etnis nalegał, żeby akurat to ona się tym zajmowała. Kiedyś ją to irytowało, ale nie mogła odmówić skuteczności takiemu szkoleniu. Po kilkunastu sekundach zamek ustąpił z mechanicznym chrzęstem, a drzwi przed nią się otworzyły – jednak nie tylko one jedno. W oddali ktoś również wychodził na korytarz.

Wślizgnęła się do sypialni najciszej, jak potrafiła. Serce przyspieszyło, ale nie waliło jak szalone. Lekka dawka adrenaliny pomknęła wzdłuż grzbietu, a Efra pozwoliła sobie rozkoszować się przez sekundę tym uczuciem.

Stąpając ostrożnie, oceniała pomieszczenie. W łóżu pod wielkim baldachimem spał ktoś sporych rozmiarów. Zło-

dziewka upewniła się, że to matrona Burly, po czym zerknęła na stolik nocny. Na jego blacie prócz złoconej lampy znajdowały się resztki ciastek, kilka chustek i szklanka niedopitego mleka. Sprawdziła szufladę, lecz tam również walały się jedynie bezużyteczne śmieci.

Usłyszała donośne kroki na korytarzu. Albo ktoś wyjątkowo ciężki wychodził z domu w środku nocy, albo to uzbrojony strażnik dążył na zmianę warty. Zmarszczyła brwi, rachując w głowie po raz kolejny. Czyżby zmienili harmonogram? Przygryzła wargę i poczuła, że kropla potu spływa po jej czole. Zdała sobie sprawę, jak lekceważąco podeszła do tego skoku – za krótka obserwacja i do tego sprzęt... a właściwie jego brak.

Wzruszyła ramionami. Nie mogła teraz tego zmienić. Zauważyła w kącie niewielką toaletkę i podeszła do niej. Przeszukała stos pudrów i flakonów, aż w końcu znalazła pełną biżuterii szkatułkę ozdobioną misternie wyrzeźbionym herbem Burlych. Wiedziała, że matrona nosi naszyjnik na co dzień, a wątpiła, by przy swoim lenistwie chowała go gdzieś głęboko. Zdusiła przekleństwo, kiedy rozpoznała mechanizm.

Szkatuła była pozytywką. Żeby ją unieszkodliwić, musiałaby wyłamać metalowy spód, co w obecnych warunkach nie wchodziło w grę.

To stanowczo utrudniało wydostanie z niej naszyjnika. Nie potrzebowała całej biżuterii matrony, miała dostarczyć jeden konkretny obiekt, jak podejrzewała, jakiejś rywalce, która miała ochotę zakpić z pani Burly. Jako profesjonalna złodziejka nie pytała pośrednika Etnisa o szczegóły, nie byłoby to w dobrym stylu.

Jeszcze raz przeszukała na prędko pomieszczenie, mając nadzieję, że jednak natknie się na swój cel rzucony gdzieś niedbale przez arystokratkę, zmęczoną po długim dniu. W końcu przestała się łudzić i z westchnieniem sięgnęła znów po szkatułkę. Mogłaby wziąć pozytywkę i pozbyć się reszty błyskotek, jak tylko nadarzy

się okazja, ale wypełniona po brzegi biżuterią była po prostu zbyt ciężka i nieporęczna, by schodzić z nią po balkonach.

Zawsze pozostawała możliwość wrócenia tu jutro z odpowiednią liną do spuszczenia pozytywki, ale to również wiązało się z ryzykiem. Nie chciała zostawać w tym samym miejscu kolejny dzień, pragnęła opuścić to przekłęte miasto, a do tego z doświadczenia wiedziała, że powtarzane skoki i tak kończą się fiaaskiem – sam Etnis wtłoczył jej to do głowy, choć nie miała okazji przetestować tego w praktyce. To on dbał, żeby nie musieli kiedykolwiek niczego powtarzać... Aż do swojej śmierci.

Gdyby tylko pokusiła się o zabranie liny, przygotowała, jak potrzeba... Etnis byłby rozczarowany jej regresem, tym, że wparowała tu, jakby znowu była początkującą złodziejką pełną bezczelnej pychy. Jak kiedyś.

Nie była jednak w stanie się tym przejąć. Wciąż pozostawała obojętna na to, czy coś się jej stanie.

Być może wręcz chciała, by coś się stało.

Blake wsadziła sobie pozytywkę pod pachę i oceniła, jak bardzo zawartość grzechocze przy najdelikatniejszym nawet ruchu. Odetchnęła z ulgą, po czym wychyliła się z sypialni. Skrzywiła się, uświadamiając sobie, że nie zamknęła drzwi na klucz – kolejny detal, który może wszcząć przedwczesny alarm – i ruszyła w kierunku schodów. Z ulgą stwierdziła, że są kamienne, co oszczędzało jej trochę zmartwień o skrzypienie konstrukcji.

Kiedy znajdowała się na przedostatnim stopniu, zauważyła światło sączące się przez uchylone drzwi pomieszczenia w głębi korytarza. Gdy zbliżyła się do nich, przez szparę dostrzegła dwie sylwetki w fotelach, oświetlone płomieniami migoczącymi w kominu. Zamarła, kiedy jeden z mężczyzn uderzył otwartą dłonią w podłokietnik i westchnął ciężko.

– Nie uwierzę w żadne mityczne spiski, dopóki nie zobaczę dowodów na własne oczy, Ogfrydzie – powiedział. – To, co teraz

mamy, parlament by tylko wyśmiał.

– Może i tak. Ale oprócz tego radziłbym zacząć się lepiej zabezpieczać. Edwenowie, Toisseuxowie, Tracjusze. Wszyscy zaatakowani na przestrzeni kilku miesięcy, tracili jedynie symboliczne przedmioty, które zaraz lądowały na czarnym rynku, i to zaledwie na chwilę – odezwał się młodszy z mężczyzn.

– Myślisz, że pojawianie się na rynku to tylko przykrywka?

Efra oddaliła się od rozmawiających, ale usłyszała szelest zza drzwi, które akurat mijają. Odsunęła się i kucnęła przy najbliższej komodzie, ściskając szkatułę i wstrzymując oddech. Z wychodka wyszedł strażnik. Zapinał jeszcze pas w spodniach, po czym poprawił przymocowaną do niego kaburę z bronią i mruknął coś pod nosem. Wyglądało na to, że podąży do pokoju z kominkiem, ale podrapał się po skroni i ruszył w stronę komody.

Przez głowę Blake przebiegł tabun myśli. Jeżeli wykonałaby teraz ruch, miałyby zaledwie ułamek sekundy przewagi. Poza tym zapewne zaalarmowałyby całe piętro, a od wyjścia dzieliła ją spora odległość. Oceniała, jak bardzo jest widoczna w rozmytym świetle, i stwierdziła, że strażnik musiałby być ślepy, żeby jej nie zauważyć, jeśli tylko spojrzalby w odpowiednim kierunku. Kropla potu spłynęła po jej czole. Żaden na szybko wymyślony plan nie wydawał się dobry, więc pozostawało postawić wszystko na jedną kartę – być może strażnik pójdzie prosto i jej nie dostrzeże. Wstrzymała ponownie oddech.

Ten skok to jedna wielka porażka. Co ja myślałam, znowu się w to pakując.

Mężczyzna zatrzymał się z drugiej strony komody i sięgnął po coś z jej powierzchni. Schował to do kieszeni. Złodziejka z bijącym mocno sercem już widziała oczami wyobraźni, jak strażnik wraca na swoją wartę, ale ten, jak na złość, przesunął się o krok w prawo, przez co stanął dokładnie przed nią.

Chciała się zerwać do ataku, by podciąć delikwenta, ale coś

ją powstrzymało. Mężczyzna musiał ją zobaczyć, znajdował się na wyciągnięcie ręki, ale nawet nie drgnęła mu powieka. Nachylił się spokojnie do szuflady komody i szukał w niej czegoś, szeleszcząc papierami, po czym wyciągnął grubą kopertę. Zamknął komodę z trzaskiem, patrząc znudzonym wzrokiem prosto na Efrę – a przynajmniej na miejsce, w którym się znajdowała – po czym odszedł do rozmawiających przy kominku mężczyzn.

Zamiast pobiec natychmiast do wyjścia, Efra dała sobie kilka sekund na ochłonięcie. Nie miała pojęcia, co właśnie zaszło. Czy mężczyzna miał kurzą ślepotę i nie widział tak dobrze w ciemności? Nie, niemożliwe, w końcu poruszał się dość sprawnie i doskonale wiedział, gdzie i czego szukać. Czy został również opłacony przez zleceniodawcę Etnisa? Jeżeli tak, to ona byłaby tu niepotrzebna.

– Pismo od Ronalda w sprawie rocznicy, tak jak lord sobie życzył – rozległ się głos strażnika.

– Dziękuję. Widzisz, jeżeli pchnąłbyś ten temat na zgromadzeniu...

Efra korzystała z dźwięków rozmowy jak z tarczy, krocząc w rytm wypowiedzanych słów. Dotarła do kolejnych schodów, tym razem głównych. Zeszła po nich powoli, ale zatrzymała się na parterze, kiedy zobaczyła plecy strażnika.

Przylgnęła do wnęki i rozważyła przemknienie za nim, ale uznała to za zbyt ryzykowne. Ruszyła w przeciwnym kierunku, do drzwi, które wydawały się najbardziej zużyte i trochę przybrudzone. Otworzyła je ostrożnie i wkradła się do opustoszałej o tej godzinie kuchni. Pozwoliła sobie na głębszy oddech, po czym pospiesznie pociągnęła za klamkę dostawczych wrót, które okazały się zamknięte. Odsłoniła kuchenne okno i zerknęła na pustą ulicę. Uchyliła okiennice, przycupnęła na parapecie, postawiła szkatułę na jego zewnętrznym fragmencie, po czym ześlizgnęła się na bruk. Zabrała z parapetu szkatułę, przymknęła okno i znik-

nęła w ciemniejszej części uliczki.

Za zakrętem, w kącie za porzuconymi beczkami, wyprostowała się i rozluźniła mięśnie. Naciągnęła kaptur na głowę i ruszyła przed siebie pewnym, lecz spokojnym krokiem, z pozytywką pod pachą. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła żywej duszy.

Mimo to czuła, że jest śledzona. Wprawdzie nie miała żadnego racjonalnego powodu, żeby tak myśleć, jednak niecodzienny wypadek przy tym włamaniu wytrącił ją z równowagi.

W zaułku pełnym śmieci i szczurów postawiła szkatułę na lepkiem bruku, po czym wyciągnęła zza pasa ostry szpikulec i swój ulubiony nóż. Odkręciła niewielkie śruby trzymające spód i odchyliła go delikatnie, a melodia zalała zaułek. Wzdrygnęła się, ale błyskawicznie oderwała mechanizm od reszty pozytywki, co skutecznie ją uciszyło. Odetchnęła i przystąpiła do otwierania głównego zamka, który nie stawiał większego oporu. Znalazła naszyjnik rodowy, zamknęła skrzyneczkę z powrotem, wsunęła ją sobie pod pachę i jak gdyby nigdy nic ruszyła dalej, do mostu nad rzeką. Tam wrzuciła szkatułę do wody. Za jakiś czas, kiedy wszystko się uspokoi, da anonimowy sygnał matronie, gdzie szukać reszty biżuterii. W końcu nie planowała kradzieży pozostałych świecidełek.

Realizowała swój standardowy plan zacierania śladów i gubienia tropu, czuła jednak, że coś jest nie tak. Odnosiła nieuzasadnione niczym wrażenie, że ktoś za nią podąża, że ktoś ją obserwuje. Z niepokojem pociągnęła za klamkę niewielkiej drukarni, w której umówiła się z klientem Etnisa. Gdy tylko przekroczyła próg, uderzył ją dźwięk pracujących czcionek i zapach świeżego tuszu.

– Nareszcie, zaczynałam się niepokoić. – Z bocznego pomieszczenia wychyliła się kobieta o mysich włosach, w fartuchu upstrzonym czarnymi plamami. – Wszystko się powiodło? Spodziewałam się pana Ariasa, ale rozumiem, że to to samo zlecenie?

Efra zachowała beznamiętny wyraz twarzy, również widząc klientkę, a nie klienta, i zlustrowała kobietę nieufnie. Ta nie przejęła się wahaniem złodziejki i kontynuując płynnie swoją pracę, trąkotała dalej:

– Jestem Lufio. A także Lucera, a jak trzeba to i Ezechieli... Zależy od sprawy. Nie tylko Szarzy, ale i sami Konfederaci wykorzystują mnie czasem jako zrzut fantów.

– Wszystko się powiodło – potwierdziła spokojnie Efra. Nie spodziewała się, że klient użyje pośrednika. Z drugiej strony sądziła, że wieść o śmierci Etnisa rozniesie się dużo szybciej i pozbawi ją dostępu do jego siatki kontaktów.

Lufio oderwała się wreszcie od pracy i wytarła brudne ręce w fartuch, po czym wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Sięgnęła do jednego z worków leżących na kredensie i podając go Efrze, brzęknęła zawartymi w nim monetami. Efra oddała naszyjnik, który natychmiast zniknął w sejfie ukrytym wewnątrz kredensu.

– To sama przyjemność robić z waszmością biznesy – rzuciła przez ramię Lufio, wracając do obsługi prasy, a Efra wymknęła się jak najszybciej z drukarni wskazanym przez kobietę tylnym wyjściem.

W drodze do swojej dziupli zaczęła się w końcu uspokajać, chociaż nie mogła wypchnąć z głowy poczucia, że ktoś za nią podąża. Pozostawało jej tylko zabrać sprzęt i jak najszybciej opuścić miasto. Zastanawiała się wciąż, co tak dokładnie zaszło w ciemności korytarza, ale powoli wypierała tę sytuację z umysłu. Bała się kolejnej porażki, a dziś znowu znalazła się prawie na jej krawędzi. Wtedy jednak straciła cały swój świat, a teraz? Nie miała wiele. Nie powinna więc odczuwać strachu... Do tego bawienie się w podejmowanie zleceń martwego kochanka było nie na miejscu. Adrenalina adrenalina, ale wszystko smakowało fiaskiem pomimo sukcesu.

W piwniczce na obrzeżach miasta otworzyła naszykowany

uprzednio plecak. Przez kraty w niewielkich okienkach do wnętrza dostawały się pierwsze promienie porannego światła, więc mogła od razu wybrać się w drogę, a za kilka godzin złapać jakiegoś woźnicę na szlaku.

Przebrała się w zwykłe, plebejskie ubranie, pod luźną szatą ukryła pas z nożami, owinąwszy go wokół bioder. Łyknęła z bukłaka trochę lekko zatęchłej wody, skrzywiła się i usiadła na chwilę.

Od czasu próby samobójczej było jakoś inaczej. Ból po stracie wciąż jej nie opuszczał, ale żyła z dnia na dzień, wirując w bezcelowej pustce. Nie żeby nie zastanawiała się nad ponowieniem próby, jednak cierpienie i niepowodzenie poprzedniego zdarzenia skutecznie zniechęciły ją do tego pomysłu. Poza tym po prostu czuła się żałośnie.

Przeliczyła otrzymaną kwotę i z umiarkowanym zadowoleniem stwierdziła, że powinna mieć spokój na najbliższy czas, oczywiście jeżeli zaciśnie pasa. Potem będzie się martwić, co dalej. Była pewna, że do tego czasu sieć kontaktów Etnisa wygaśnie, więc albo będzie musiała je przejąć, albo radzić sobie na bieżąco, improwizując. Brakowało jej siły i woli do aktywnego działania, planowania czy ogólnie do podejmowania jakichkolwiek decyzji. Może po prostu by kradła? Ale Efra pospolitą złodziejką? Potrząsnęła głową, odrzucając tę koncepcję, jednak zaraz zwątpiła. Czy to byłoby w jakikolwiek sposób gorsze? Westchnęła ciężko i spojrzała w stronę okna. Zmarszczyła brwi.

Okno, zamiast przepuszczać coraz więcej porannego światła, poszarzało. Mgła o tej porze dnia nie była niczym nadzwyczajnym, ale pojawiająca się tak nagle i o tak grafitowym kolorze natychmiast ją zaalarmowała. Przez krótką chwilę rozważała, czy założyć plecak, ale dodatkowe obciążenie w walce mogłoby ją zabić.

Zbliżała się do drzwi piwniczki, ostrożnie podchodząc z lewej strony. Teraz wyraźnie widziała kłęby brudnoszarej mgły napiera-

jące na szybko. Nasłuchiwała, ale jedynym, co mogła usłyszeć, było bicie jej własnego serca.

Efra nie wierzyła w mary i potwory. Wiedziała, że największym zagrożeniem tego świata jest człowiek, a z tym potrafiła sobie poradzić. Jednak jakkolwiek mocno starała się nie zmienić swoich przekonań i racjonalizować nieudane samobójstwo, i tak nie mogła pozbyć się zwątpienia w to, co знаła dotychczas.

Po dłuższej chwili głuchoj ciszy zacisnęła zęby i zbliżyła się do klamki. W samą porę odskoczyła, kiedy zauważyła, jak pierwsze kłęby przeciskają się pod szczeliną drzwi i wibrując, dostają się gwałtownie do pomieszczenia niczym dym buchający z ogromnego pożaru.

Mgła dotknęła jej skóry; nie była mokra ani zimna, wydawała się jedynie... brudna. Nagle coś w jej wnętrzu zaczęło gęstnieć i nabierać kształtu. Efra rzuciła się do drzwi, ale poczuła gwałtowne szarpnięcie i się przewróciła. Już po sekundzie odwracała się z powrotem w kierunku rozmazanej postaci, jednocześnie wyciągając jeden z podręcznych sztyletów.

Przeszywające zimno wbiło się niczym szpilki w jej kostkę, wokół której zaczęły się materializować palce zjawy. Szara, szponiasta dłoń nagle przybrała fizyczną formę i odsunęła Efrę od drzwi. Dziewczyna jęknęła mimowolnie, próbując się nieskutecznie uwolnić. Karykaturalnie długie, żylaste ramię w kolorze popiołu łączyło się powoli z wąskim korpusem, tak chudym, że pod pomarszczoną skórą można było policzyć wszystkie żebra. Trójkątna, sinobiała twarz mruknęła przeciągle, odsłaniając bezzębną pustkę. Upiór otworzył oczy, zaskakująco ludzkie, z ciemnobrązowymi tęczęwkami i przekrwioną bielą gałek.

Efra wstrzymała oddech i zadrżała, kiedy zjawa wciągała jej zapach, zasysając powietrze znad szyi złodziejki. Blake przestała się szamotać, spróbowała się skupić. Mara zwolniła ją z uścisku i przybliżyła twarz tak bardzo, że dziewczyna poczuła z bezzęb-

nych ust smród zatęchłej staroci.

– Witaj, odrazo dla życia – odezwał się szorstkim głosem upiór. – Nie powinno cię tu być... – wymruczał i przeniósł wzrok na klatkę piersiową Efrey.

Blake przymknęła oczy. Mgła wciąż unosząca się wokół postaci zdawała się otulać również jej ciało, muskać je rytmicznie i fallować, prawie masując. Dziewczyna poczuła bezbrzeżną pustkę rozlewającą się ze wzmożoną siłą po całym jej ciele, aż w końcu przestała drżeć, częściowo obezwładniona.

– Czy jesteś Śmiercią? – wydusiła pytanie, z wciąż zamkniętymi oczami. – Nie chciałam uciekać... Zabierz mnie, dokąd trzeba.

Zjawa zaśmiała się skrzekliwie.

– Nie jestem Śmiercią, chociaż jakaś Śmierć drwi sobie z ciebie... Jestem tylko narzędziem.

– Narzędziem Śmierci?

Widmo zarechotało nieprzyjemnie.

– Śmierć to tylko zjawisko, któremu wy, ludzie, nadaliście nazwę. To tylko forma przejściowa między waszym nędznym wstępem a rozwinięciem.

Efra zacisnęła wargi, myśląc gorączkowo, jak kupić czas i jak zareagować; mara wydawała się rozkoszować chwilą.

– Tysiąc lat świętego spokoju, a teraz znowu nas wzywają do waszego obrzydliwego gatunku. Ale to nie twoja wina, dziecko. Nie twoja. Na szczęście beużyteczne robaki nigdy nie mogą się powstrzymać przed użyciem mocy spoza ich możliwości.

Blake poczuła na piersi ukłucie pazurów szarej istoty, kiedy na zewnątrz rozległ się chrzęst żwiru. Otworzyła oczy i odskooczyła od zjawy w tej samej sekundzie, w której ktoś wyważył kopniakiem drzwi. Potwór zawirował i uniósł się w powietrzu, sycząc na niespodziewanego gościa.

– Tym razem odmówimy posługi z zaświatów – odezwał się pokryty bliznami mężczyzna z cygarem w ustach, celując strzelbą

w zjawę. Efra mogłaby przysiąc, że ta westchnęła z irytacją, jakby spotykała go po raz kolejny. – Do zobaczenia następnym razem, również nieudany – powiedział i skinął głową, jakby zęgnął się ze starym przyjacielem, a nie monstrem z piekła rodem, po czym strzelił prosto w tors szarej masy.

Efra odruchowo zakryła uszy i odwróciła twarz, ale ani krew, ani żaden płyn niewiadomego pochodzenia nie rozbryzgnęły się po niewielkiej piwnicy, jedynie huk wystrzału ogłuszył ją na chwilę. Zjawa znowu zmieniła się w mgłę, po czym zaczęła wirować wokół własnej osi i stopniowo się rozmywać. Mężczyzna, niewzruszony, odjął na chwilę cygaro od ust i zdmuchnął purpurowy pył unoszący się nad lufą, po czym zarzucił strzelbę na ramię, jednocześnie drugą dłonią sięgając do kieszeni. Złodziejka chciała na niego wrzasnąć, żeby nie odkładał broni. Ten wyciągnął w końcu zardzewiałą bransoletę i rzucił ją w jej stronę.

– Łap, do cholery! – krzyknął do niej.

Szare tornado ruszyło w stronę dziewczyny w tym samym momencie, w którym ona chwyciła bransoletę. Wycie ewidentnie niezadowolonego stworzenia wypełniło całą piwnicę, niemal ogłuszając Efrę, która drżącymi palcami zapięła biżuterię na nadgarstku. Mgła zaczęła wyciekać z pomieszczenia, a mężczyzna wyciągnął dłoń w stronę Blake i posłał jej niewyraźny uśmiech.

– Nie potrzeba podziękowań. A teraz zmywajmy się stąd, zanim ktoś przyjdzie sprawdzić, kto strzelał i co takiego wyło.

Chociaż wszystko, czego nauczyła się w życiu Efra, krzyczało w niej, że nie ufa się nieznanym, złapała go za rękę i spojrzała prosto w ciemnobrażowe oczy, tak zaskakująco podobne do oczu zjawy. Pokryta bliznami twarz nabrała bardziej ludzkiego wyrazu, gdy mężczyzna szerzej się uśmiechnął. Powędrował wzrokiem po jej twarzy, po czym wskazał jej drogę na zewnątrz. Efra chwyciła plecak i wyszła przed nim na wciąż galaretowatych nogach.

– Potrzebuję wyjaśnień – wydukała.

Wybawiciel zgasił resztkę cygara i wyrzucił je za siebie.
– W to nie wątpię.



2

Cztery lata temu

– Wyglądasz zjawiskowo, siostrzyczko – zakrzyknął od progu Vicon, kiedy wkroczył do saloniku ich matki. – Do twarzy ci w różu!

Olyanna obróciła się na podeście i zgromiła go spojrzeniem. Służba uwijała się wokół, drapując obszerną, opartą na kole suknię z tak grubych warstw jedwabiu, że można by za nią kupić kilka wiosek.

– Może rozważyłabyś od czasu do czasu więcej pasteli na co dzień? Na pewno nie zaszkodziłoby to liczbie zalotników, najwyższa pora... – wtrąciła się jej matka, wciąż obserwując służkę nachylającą się ze szpilką. Oceniała każdy jej ruch ze zmarszczonymi brwiami.

– A na tobie doskonale leży ten garnitur według najnowszej mody... – Olyanna odwdzięczyła się bratu przymilnym głosem.

– Ach, dziękuję, siostrzyczko – zagruchał Vicon i podszedł do matki, po czym złożył na jej policzku powitalny pocałunek.

Elena Cross'tilo drgnęła, rozproszona, ale na jej twarzy rozkwitł błady uśmiech.

– Daj mi dokończyć – powiedziała spokojnie Olyanna, odwracając się na podeście, i spojrzała bratu prosto w oczy. – Garnitur idealnie do ciebie pasuje. Taki, jak noszą wszyscy Konfederaci: bez wyrazu, nudny do bólu, pokazujący, że można cię ulepić, jak się tylko pragnie.

Viconowi na krótką chwilę zrzędała mina, ale zaraz pokręcił rozbawiony głową, przyglądając się siostrze. Matka jednak zacerpnęła wielki haust powietrza – a przynajmniej taki, na jaki pozwalał boleśnie ciasno zasznurowany gorset – i zacisnęła wyszminekowane na bordowo wąskie usta, marszcząc głęboko czoło. Córka zerknęła na nią przelotnie i dobrze znając ten wyraz twarzy, natychmiast spuściła pokornie wzrok, chociaż nie miała żadnych wyrzutów sumienia. Warto było ryzykować, że zostanie ukarana, żeby czasem dogryźć Viconowi.

– Dziecko, nie możesz zwracać się tak do starszego brata! Powinnaś spoważnieć. Siedemnaście wiosen, mogłabyś już być matką...

Vicon machnął niedbale ręką.

– Daj jej jeszcze czas. Myślę, że znajdzie się w końcu ktoś wyjątkowy, o silnym charakterze, więc zapewne i wysokiej pozycji. No bo kto inny zniesie naszą małą gwiazdę?

Matka dała się tymczasowo udobruchać i szarpnęła wiązanie gorsetu córki, by sprawdzić, czy jest wystarczająco ściśnięty. Zaczęła wskazywać elementy do poprawienia w misternie upiętym koku i wytknęła kilka zbyt niechlujnych udrapowań, a Vicon puścił do siostry oczko. Ta niechętnie się uśmiechnęła, pragnąc tylko zejść wreszcie z tego nieszczęsnego podestu.

– Arden kazał przekazać, że spotkamy się na miejscu. Miał pilne sprawy tuż przed balem i... – zaczął objaśniać Vicon, ale parsknął śmiechem, widząc w lustrze twarz przedrzeźniającej go Olyanny. Spoważniał szybko i odchrząknął. – I wygląda na to, że muszę do niego dołączyć. W każdym razie, pani matko, sio-

stro, do zobaczenia na miejscu, kazałem przygotować drugą karetę. Bawcie się dobrze!

Dziewczyna zdusiła westchnienie i pożegnała sztywno brata. Zawiesiła spojrzenie na wysokim koku upiętym z jasnobrązowych włosów i przymknęła oczy, by nie musieć patrzeć na ten cały kostium. Czekwała cierpliwie – a przynajmniej zmuszała się do cierpliwości – aż łaskawie skończą się nad nią pastwić.

– Pani Cross'tilo, sądzę, że wszystko jest gotowe – oznajmił krawiec, czym wyrwał matkę z zamyślenia.

Usłyszawszy te słowa, Olyanna miała właśnie zejść z podestu, kiedy matka powstrzymała ją gestem. Kobieta obchodziła córkę, krytycznie przyglądając się każdemu szczegółowi. Wciągnęła delikatnie zapach jej perfum – dziewczyna musiała się skupić, by powstrzymać wzdrygnięcie – po czym poprawiła jeden z opadających loków czułym gestem i w końcu uśmiechnęła się szeroko.

– Wiesz, jesteś moim największym skarbem?

Córka bez słowa skinęła głową.

Na pewno.

– I zdajesz sobie sprawę, że będziesz najgorętszym towarem tego sezonu, jeżeli ogłoszę, że jesteś gotowa do małżeństwa?

Olyanna przewróciła oczami, ale przytaknęła.

– Zrób to, jeżeli musisz. Być może łamanie im serc uczyni te przebieranki znośniejszymi.

Kobieta zignorowała uszczypliwy komentarz i teraz to ona skinęła głową, zadowolona. Jej córka zeszła ostrożnie z podestu i próbowała się przyzwyczaić do pijących pantofli, gdy Elena kładła energicznie w dłoń.

– Za dziesięć minut ruszamy w drogę – rzuciła bardziej w stronę służby niż do córki i wyszła z komnaty otoczona swoją świtą.

Chcąc nie chcąc, Olyanna wlokła się na dół, walcząc ze zwojami materiału. Wiedziała, że prędzej czy później matka zwycięży. Na myśl, że wyda ją za jakiegoś naburmuszonego polityka z tytu-

łami, robiło jej się niedobrze; ale ile może symulować choroby tuż przed balami? Potrafiła nawet zjeść kawałek surowego kartofla, byle tylko nie musieć iść na kolejną maskaradę umizgujących się do siebie arystokratów i polityków, którzy jak tylko zmieniają rozmowę, to bez ceregieli od razu przechodzą do obmawiania poprzedniego. Nie cierpiała tych spędów od dziecka, nudziła się tam jak mops. Dawniej chociaż miała święty spokój. Niestety kilka lat temu zaczęto ją zauważać. Mężczyźni mierzyli ją wzrokiem jak lalkę, którą chcieliby zabrać do domu i postawić na półce. Owszem, kłaniali się z szacunkiem i kurtuazją, ale wiedziała, że to wyłącznie społeczne przedstawienie. Niczym nie różniłaby się dla nich od świeżo kupionej drogiej klaczy. Być może klacz miałaby nawet więcej do powiedzenia, bo mogłaby ich zrzucić ze swojego grzbietu.

Dała się zapakować do karety bez słowa – albo może i rozmawiała z kimś, nie pamiętała; w takich sytuacjach odpowiadała automatycznie, bez większej intencji czy zaangażowania. Kiedy była małą dziewczynką, w wieczornych podróżach po Wolnym Mieście najbardziej lubiła podziwianie oświetlonych lampami gazowymi głównych uliczek; liczyła je, jednocześnie podziwiając tajemniczy i cichy klimat. Wtedy nikt nie pozwoliłby jej wymknąć się po zmroku, więc doceniała karetkę bardziej niż teraz. Obecnie to była dla niej klatka na kółkach, wioząca ją na pełną przepychu wystawę.

Napotkała karcące spojrzenie matki i uciekła wzrokiem za szybę. Być może niepotrzebnie nastrajała się do wszystkiego tak negatywnie. Wiedziała, że większość dziewcząt oddałoby duszę, by być na jej miejscu: nosić jej nazwisko, cieszyć się jej urodą i nigdy nie narzekać na biedę. A jeśli pragnienie czegoś więcej rzeczywiście było samolubne? Spróbuj tej nocy, właściwie co jej szkodzi. Zawsze może z nudów po prostu podrwić z zalotników, na razie nie jest jeszcze niczym związana. Prócz stalowej

woli matki, oczywiście. Czasem Olyanna dziwiła się samej sobie, że jej wola buntu wciąż kwitła, mimo że była regularnie deptana.

Kiedy tylko opuścili kareteę przed posiadłością rodu Marvellów, jeden z lokajów przecisnął się przez tłum w ich stronę. Ukłonił się z kurtuazją i wskazał im drogę do wejścia przed ciągnącą się kolejką. Olyanna, po szeregu uprzejmych pozdrowień i sztucznych, wyćwiczonych uśmiechów, dostała się w końcu do sali balowej, by tam lawirować pomiędzy kolejnymi powitaniami. I chociaż niejedną salę balową w życiu widziała, z zaskoczeniem uznała, że to najbardziej rozdmuchany i kiczowaty wystrój, jaki dotychczas miała okazję zobaczyć. Nie mogła mu jednak odmówić bajkowości. Strzelista gotycka sala została wypełniona po brzegi kryształem: wykonane z niego girlandy otaczały wszystkie ściany, zwisały również z ozdobnych, gargantuicznych żyrandoli – oczywiście także z kryształu – rozświetlających pomieszczenie lekko przydymionym, błękitno-różowawym światłem. Powiodła wzrokiem po niekończących się stołach zastawionych, jakżeby inaczej, kryształowymi kielichami i srebrnymi sztucami; następnie rozejrzała się dyskretnie, by sprawdzić, które mogłyby przemknąć do balkonów, z których zobaczyłaby to wszystko z góry. Pierwszy taniec oglądany w tym oświetleniu i bajkowej scenerii będzie robił dziś wrażenie.

Właśnie chciała zacząć się wspinać po schodach, ukrytych za jedną z rzeźbionych w liście akantu kolumn, kiedy usłyszała za sobą głos matki. Zamarła na chwilę, dusząc w sobie przekleństwo. Już prawie wyparła ze świadomości, że zgodziła się na umizgi w tym sezonie. Odwróciła się i dygnęła odruchowo przed swoim najstarszym bratem i młodzieńcem stojącym po jego prawicy.

– Proszę, poznaj moją drogą siostrę, Olyannę Lucię. – Arden przedstawił ją z szerokim uśmiechem. – Olyanno, to Horacy Hoax, przyszły przewodniczący komisji do spraw równości.

Olyanna udała podziw i poczuła na sobie spojrzenie matki. Niechętnie wyciągnęła dłoń, a przystojny blondyn musnął ją ustami.

– Czy pani Cross'tilo pozwoli mi otworzyć ten wieczór walcem w towarzystwie pani ołsniewającej córki?

– Jak najbardziej, ale proszę na nią nad wyraz uważać. To jej pierwszy sezon, więc proszę również wybaczyć nieśmiałość i nieobycie.

Olyanna mogłaby przysiąc, że zobaczyła iskrę zainteresowania w oczach młodzieńca. Posłała mu uśmiech i utknęła przy jego boku, czekając na wypełnienie sali i rozpoczęcie pierwszego tańca. Wdała się w kurtuazyjną rozmowę o niczym. O wieczorze. O wystroju. O pogodzie. Odpowiadała tak, jak zrobiłaby to matka, i chociaż nie cierpiała całego tego owijania w bawelnę i społecznego blichtru, nie znaczyło to, że nie potrafiła zagrać w tę grę. Poznawała jej zasady przez całe życie.

Dziesiątki młodych ludzi ustawiło się nareszcie do pierwszego walca, więc i Olyanna podała swoją dłoń Horacemu i razem ruszyli na środek parkietu rozświetlonego rozproszonym, kolorowym światłem. Skłonili się sobie i pomknęli w rytm muzyki pośród morza par bliźniaczo podobnych do nich. Kątem oka widziała chmurę gości, którzy przyglądali się wirującym w tańcu kobietom i mężczyznom, szepcząc między sobą; Olyanna sunęła płynnie, nie dając poznać po sobie, jak duży dyskomfort czuła z powodu uciskającego ją gorsetu. Lśniła i emanowała spokojem i szczęściem. Przynajmniej tak wyglądało to na zewnątrz.

Kiedy muzyka zwolniła, Horacy podjął próbę rozmowy. Cały czas pozerwał Olyannę swoimi błękitnymi oczami. Nie zauważyła, żeby uciekł wzrokiem chociażby na sekundę.

– Jak na pierwszy raz tańczysz wybitnie – wydusił trochę niezręcznie, przez co prawie pomylił krok.

Olyannie zrobiło się go szkoda i uśmiechnęła się do niego.

Pewnego rodzaju autentyczność w jego poczynaniach obudziła w niej krztynę sympatii.

– Zmuszana do tańca byłam wielokrotnie, jedynie sala była mniejsza – zażartowała, a ten się roześmiał. Kątem oka zauważyła śledzącego ją surowym wzrokiem Ardena. – Czy przyszedł przewodniczący komisji oznacza, że mój brat zapewnił ci poparcie w trakcie głosowania, czy po prostu czekasz na zaprzysiężenie? – wypaliła, a Horacy rozchylił lekko usta w zdziwieniu, zbity z tropu po usłyszeniu tak bezpośredniego pytania od młodej damy. Uśmiechnął się i obrócił nią w tańcu.

– Dotarli do mnie plotki o tym, że masz mocno wyrobione zdanie o polityce. Będę szczery, ta pierwsza opcja, dopiero czekamy na głosowanie. Chciałem komisję do spraw równości z kilku powodów. Między innymi praw kobiet.

– I cóż z nimi chcesz uczynić?

– Utrzymać, oczywiście! Nie chcemy się cofać jako społeczeństwo...

Olyanna zdusiła parsknięcie.

– I uważasz, że mamy te same prawa?

Horacy uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Jesteśmy jednym z najnowocześniejszych pod tym względem państw. Triadyjki mogą pracować i posiadać własny majątek, głosować... Są wolne. Niezależne.

– A czy taka kobieta jak ja jest niezależna?

Młody polityk uniósł brew.

– Ależ oczywiście! Pomijając fakt wyborczej niepełnoletności.

– Być może prawa istnieją w teorii, Horacy. Mogę ci mówić po imieniu? Ach, nieważne. Kobiety w miastach ruszyły do fabryk. Owdowiałe matki mogą utrzymać swoje dzieci, zamiast młócić się o mężczyznę, który weźmie je pod swoje skrzydła. Ale popatrz na arystokratki takie jak ja.

Horacy milczał, a jego twarz widocznie stężała.

– Powiedz mi, który uniwersytet by mnie przyjął, gdybym chciała zostać inżynierką. Czy któraś z fabryk zatrudniłaby mnie, żebym mogła się utrzymać i odciąć od mojej rodziny? Triada szczydzi się nowoczesnością, ale wciąż bawimy się w bale i polityczne małżeństwa. Rozejrzyj się. Wszystkie kobiety na tym parkiecie to towar dla mężczyzn, którzy się realizują.

Blondyn przygryzł wargę, ważąc jej słowa. Nie oburzył się, co pozytywnie zaskoczyło dziewczynę.

– To... kwestia obyczajów. Gdyby twoja rodzina poparła twoje decyzje, mogłabyś podjąć studia.

– W teorii. A co, jeśli nie poprze? Poza tym, ile znasz inżynierek? O, albo inaczej: ile znasz polityczek w parlamencie?

Horacy się zasępił.

– Rzeczywiście, znam jedynie kilka takich kobiet. Policzyłbym je na palcach jednej ręki, a do tego większość z nich przejęła polityczną schedę po swoich krewnych.

Muzyka ustała, a oni się zatrzymali i patrzyli na siebie bez słowa, kiedy inni kłaniali się sobie nawzajem.

– Olyanno.

– Horacy.

Polityk, mimo lekkiego zmieszania wymalowanego na twarzy, się uśmiechnął. Skinęli sobie delikatnie głowami i rozeszli w przeciwnych kierunkach. Wbrew swoim oczekiwaniom Olyanna poczuła specyficzną satysfakcję po pierwszym walcu. Mina znajomego Ardena, który uświadamiał sobie rzeczy jasne jak słońce, zarówno rozbawiła ją, jak i zirytowała; w każdym razie było to ciekawsze od nudy na zdającym się trwać wieczność balu.

Suchość w gardle zaczęła jej przeszkadzać, więc namierzyła najbliższy stół. Przeciskała się w tamtą stronę, przepraszając kilkunrotnie potrącanych gości, i z ulgą sięgnęła po kryształowy kielich. Wypiła zawartość duszkiem, odstawiła naczynie na tacę i skierowała wzrok ku górze. Chciała udać się na balkon, by obej-

rzyć kolejny taniec i odpocząć, ale obróciła się i zamarła.

Matka skłoniła się w oddali Horacemu i natychmiast spojrziała na nią. Na sekundę na jej twarzy wymalowała się furia, która zaraz została przykryta wyćwiczonym uśmiechem.

Szlag.

– Co to miało znaczyć? – zapytała przez zaciśnięte zęby, jak tylko do niej dopadła, ale zaraz przywróciła uśmiech, by nikt z daleka, nie daj bogowie, nie zauważył, że ma jakiś problem z córką. – Jeżeli będziesz na siłę zniechęcać adoratorów, zamknę cię w posiadłości, aż umrzesz z nudów i będziesz błagać o męża dla jakiegokolwiek rozrywki.

Olyanna otworzyła usta, zdumiona. Jej matka była ostra w tych sprawach, ale nie spodziewała się, że na nią naskoczy w publicznym miejscu. W końcu nie zniechęcała jegomościa umyślnie, a wręcz dobrze się z nim bawiła. On z nią zresztą też.

– My tylko rozmawialiśmy trochę o polityce... – wybąkała, uciekając wzrokiem. Czuła się niczym zbesztana mała dziewczynka.

– I w tym sęk, czy ty się wczoraj urodziłaś? Żadnej polityki. Powinnaś być damą. A teraz marsz, mam kilka nazwisk dla ciebie, trzeba kogoś wybrać. Dwa tańce i odsyłam cię do domu, nie będę dłużej ryzykować – rzuciła Elena suchym tonem i pociągnęła ją za sobą.

Zmieszana Olyanna potknęła się, spiesząc za matką. Była zszokowana jej reakcją. Mimo wszystko nie spodziewała się po niej takiego zachowania, czuła się, jakby naprawdę zrobiono z niej klacz wystawową. Przełknęła nerwowo ślinę.

Ale przynajmniej odeśle mnie wcześniej do domu, pomyślała.

Wypchnięta do kolejnych dwóch konkurentów, wewnątrz jednak będąc myślami daleko od kryształów i blichtru, zachowywała się ze swoim typowym dystansem i uprzejmością; wirując po raz kolejny na parkiecie, widziała kątem oka Horacego, który

wodził za nią wzrokiem. Czyżby go nie zniechęciła? Być może była jednak jakaś nadzieja dla tego mężczyzny, niewielka, ale zawsze. A także nadzieja dla niej samej.

Wytrzymała tańce z przyklejonym do twarzy uśmiechem tak szerokim, aż rozbolały ją policzki. I chociaż wcale nie chciała zapamiętywać imion i twarzy przedstawianych jej osób, to i tak wiedziała, że ich nie zapomni. Mimowolnie spełniała swoją rolę, angażując się w coś, czym gardziła.

Ledwie następny konkurent zbliżył się do niej, a matka wyrosła spod ziemi z przepaszającym uśmiechem.

– Lordzie Awellu, mam nadzieję, że przy następnej okazji uda mi się przedstawić panu moją córkę. Niestety nadmiar wrażeń doprowadził ją do bólu głowy, a z tym lepiej nie żartować.

Niski, przysadzisty mężczyzna uśmiechnął się do dziewczyny, a ta spuściła wzrok. Elena chwyciła córkę pod ramię i ruszyła w kierunku wyjścia.

Olyanna podejrzewała, że raczej nikt nie zdziwił się jej nagłym zniknięciem. W końcu polityczne zagranie ograniczenia dostępu do nowej damy na rynku zbytu niezaprzeczalnie podwyższało wartość towaru.

Ledwo nadązała za matką, która parła do przodu, jakby zaraz miała się gdzieś spóźnić. Kiedy Olyanna nareszcie wsiadła do karety, matka chwyciła nerwowo drzwi przed samym ich zamknięciem. Córka obdarzyła ją zdumionym spojrzeniem. Elena w końcu porzuciła uśmiech przyklejony do twarzy, pozwoliła furii przejąć kontrolę i uderzyła otwartą dłońią prosto w policzek dziewczyny. Ta zakryła palcami zaczerwienioną nagle skórę, otwierając szeroko oczy.

– Zawsze miałaś silny charakter. Jakkolwiek próbowałam cię ujarzmić, twoje zepsucie i tak ostatecznie wybija na wierzch...
– Elena westchnęła ciężko, powoli się uspokajając. Odgarnęła pasmo włosów z czoła córki, która wzdrygnęła się na ten gest. –

Ale kiedy chcesz, to umiesz. Nauczyłam cię, jak być damą. Może jest dla ciebie nadzieja, dziecko. Musisz szybciej dorosnąć i poważnieć, naprawdę. Doceniam, że potem się opanowałaś. Twój ojciec miał rację, nie chciałam mu tego całe życie przyznawać, ale czasem twarda ręka czyni cuda. – Dziewczyna spuściła wzrok na wzmiankę o ojcu, a Elena rzuciła okiem w kierunku posiadłości. – Zostało mi jeszcze kilka spraw i kieliszków do opróżnienia, kiedy nie muszę się już przez ciebie stresować. Dobrej nocy – rzuciła krótko i zamknęła drzwi karety z przesadnie głośnym trzaśnięciem.

Dziewczyna przymknęła oczy i odetchnęła, rozluźniając się na tyle, na ile pozwalał gorset. Przeklęła pod nosem i spróbowała sięgnąć do wiązania pod suknią, by go poluzować, wyginając się przy tym ze wszystkich sił. Bezskutecznie. Odchyliła głowę do tyłu. Cały czas widziała przed oczami morze twarzy i kryształów, wirujące suknie i sztuczne śmiechy. I chociaż uważała bale za kiczowaty blichtr, to rozumiała, czemu są kuszące dla społeczności. Odrealnienie, poczucie ważności, wyjątkowość chwili, chęć bycia zauważonym – to wszystko było niewinną ucieczką od szarego dnia. Do tego polityka omawiana po zmroku, ubrana w tiule, zdawała się delikatniejsza do wprowadzenia w życie. Dlatego bale takie jak ten nie wyszły z mody i nie zapowiadało się, by w najbliższej przyszłości ich popularność mogła być zagrożona.

Na podjeździe przed posiadłością Cross'tilów podziękowała woźnicy, gdyż zapragnęła przejść się chwilę w mroźnym, orzeźwiający, wiosennym powietrzu. Lamy rozświetlały starannie przycięty ogród wokół fontanny. Zboczyła z podjazdu w jedną z brukowanych alejek i ucięła w szklarni kilka fioletowych róż na poprawę nastroju. Skierowała się ponownie ku domowi, drząc trochę z zimna, kiedy nagle w oddali zauważyła ruch.

Zmrużyła oczy w ciemności, spodziewając się dojrzeć jakiegoś kruka lub inne nocne stworzenie, ale zobaczyła sylwetkę czło-

wieka zsuwającego się na linie z dachu. Jej serce przyspieszyło. Kiedy cień wślizgnął się do jednego z pomieszczeń, otrząsnęła się i prędko oceniła, w którym skrzydle i na którym piętrze znajduje się zagrożenie. Popędziła po trawie, nie bruku, żeby nie robić hałasu, nie martwiąc się przy tym, że zmoczy suknię wieczorną rosą. Wpadła do holu, ale zwolniła, by zebrać na szybko myśli. Jeżeli powie strażnikom, co się stało, zamkną ją w bezpiecznym miejscu i nigdy się nie dowie, co nastąpiło potem. Przygryzła wyszmkowaną na różowo wargę. Próbując zachować spokój, przywitała się z nocną wartą i pod pretekstem znalezienia ulubionego wazonu do kwiatów udała się do skrzydła, w którym prawdopodobnie grasował złodziej.

Kiedy znalazła się sama na korytarzu, zsunęła pantofle i zostawiła je pod ścianą. Wspięła się powoli po schodach, nasłuchując. Każde piętro powinno mieć co najmniej jedną osobę na warcie, więc mogłaby poprosić o asystę.

Wkroczyła powoli na korytarz na drugim piętrze i rozejrzała się za sylwetką strażnika, ale nie zauważywszy nikogo, ruszyła do przodu po cichu. Próbowała nasłuchiwać pomimo szalonego łomotu serca. I chociaż była świadoma niebezpieczeństwa, jej instynkt samozachowawczy został znokautowany przez ciekawość.

Za zakrętem dostrzegła strażnika leżącego na podłodze. Rozejrzała się, czy bezpośrednie zagrożenie nie czyha jeszcze w pobliżu, po czym nachyliła się nad mężczyzną i sprawdziła, czy oddycha. Skrzywiła się, gdy poczuła odór alkoholu. Upewniała się, że strażnik jest jedynie nieprzytomny, gdy usłyszała w oddali szelest. Zbliżyła się do jedynych drzwi, które były niedomknięte.

Odepchnęła skrzydło i wemknęła się do byłego gabinetu jej ojca. Wysokie regały zavalone skrzyniami z dokumentami i wyświechtanymi tomami przylegały do ścian aż do sufitu. Na samym środku stało okazałych rozmiarów mahoniowe biurko, oświetlone niewielką żarzącą się kulą, rzuconą niedbale

na blat. Wszystkie szuflady były wysunięte. Ktoś leżał pod biurkiem i w czarnych rękawiczkach badał centymetr po centymetrze jego zakamarki.

Z jednej strony zaspokoila częściowo ciekawość, zobaczywszy na własne oczy złodzieja. Z drugiej jednak wciąż nie wiedziała, czego szukał. Strażnika nie zamordował, a zapewne mógł. *Co nie znaczy, że nie zrobi mi krzywdy, to myślenie życzeniowe*, zgañiła się. Oparła się o regał, obserwując sylwetkę mężczyzny pochłoniętego sprawdzaniem biurka. Zręcznie wymacał wszystkie łączenia, aż w końcu z cichym kliknięciem otworzył dno jednej z szuflad. Wyciągnął kilka pism i usiadł w fotelu przy biurku, po czym pogrążył się w szybkiej lekturze. Przeczesał palcami czarne włosy i zmarszczył brwi.

Skórzni mężczyzny wyglądała na prawdziwy majstersztyk – dziewczyna musiałaby się naprawdę postarać, gdyby chciała zliczyć liczbę ukrytych w niej skrytek. Mimowolnie zbliżyła się kilka kroków.

Intruz odłożył papiery na miejsce i zatrząsnął schowek, zatrzymując jedynie pojedynczą stronicę, którą zgiął i wetknął do jednej z kieszonek.

– Też czegoś szukasz w gabinecie swojego ojca? – rzucił złodziej, a Olyanna drgnęła przerażona. Mogłaby przysiąc, że mężczyzna nie obdarzył jej nawet najmniejszym spojrzeniem, a jednak i tak był świadomy jej obecności.

– Emm... Tak, ciebie – wydusiła, po czym się skrzywiła, usłyszawszy, jak trywialnie to zabrzmiało.

Brunet usiadł prosto w fotelu i popatrzył na nią krytycznie. Sunął beznamiętnym wzrokiem po jej lekko wilgotnej, wystawnej sukni, szerokością równej prawie całemu regałowi.

– Wyrzucili cię z balu i szukasz pocieszenia? – zadrwił i wstał od biurka, a ona zadrzała.

Nieznajomy zbliżył się powoli, jakby nie chciał spłoszyć łani.

Olyanna uniosła spojrzenie i utkwiała je w jego twarzy, zapamiętywała rysy, jego szeroką szczękę, lekko wyprofilowany grzbiet nosa i dołeczek, który pojawił się przy pogardliwym uśmiechu. Wiedziała, że nie zapomni tych szczegółów. Złodziej musiał zdawać sobie z tego sprawę. Wpatrywała się w jego szare oczy, widoczne w wąskim pasie światła pochodzącego z korytarza.

Brunet przechylił głowę i się uśmiechnął, patrząc na świeżo ścięte kwiaty.

– Fioletowe róże, symbol miłości od pierwszego wejrzenia – powiedział aksamitnym głosem i nachylił się nad płatkami, by zaciągnąć się ich zapachem, po czym się roześmiał, dostrzegłszy, jak Olyanna drży. Oparł się o regał i świdrował ją wzrokiem.

– Więc spotkałaś dziś swoją nową miłość, Olyanno? W końcu to twój pierwszy bal – szepnął jej prawie do ucha.

I o ile Olyanna cieszyła się opinią wyjątkowo odważnej – choć przede wszystkim niewyparzonej w mowie – tym razem zabrakło jej słów. Informacja, którą dysponował nieznajomy, nie była trudna do uzyskania, wszak jej status czynił z niej poniekąd osobę publiczną i wieść o uczestnictwie w balu, chociaż późna, rozniosła się błyskawicznie po salonach. To naturalne, że musiał zbadać Cross'tilów przed włamaniem się do ich posiadłości, ale i tak poczuła się jak ofiara podana na talerzu, odarta z prywatności. Tkwiła bezradnie, patrząc w jego szare oczy, tak bezczelne i śmiałe. Nie obawiał się jej. Nie próbował uciekać. Stał tutaj przed nią, jak gdyby prostu spotkała go na ulicy, a nie przyłapała na kradzieży we własnym domu.

– Nie twój interes – wydusiła, a on zbliżył się do niej o kilka kolejnych centymetrów. Przyłgnęła rozpaczliwie do regału i łokciem przewróciła stojący luźno tom. – Skrzywdzisz mnie – stwierdziła, a jej dolna warga zadrżała.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał bez większych emocji.

– Widziałam cię. Widziałam twoją twarz. Twoją kradzież.

– Tej jednej strony, o której nikt nie miał pojęcia, że istnieje, prócz twojego zmarłego ojca? – Uniósł brew z rozbawionym uśmiechem błąkającym się po ustach.

– Ogluszyłeś strażnika...

Nieznajomy potrząsnął głową i znów zaciągnął się różą.

– Jesteś nieuważna. On przesadził z alkoholem, nie znajdziesz na nim żadnego śladu napaści, prócz maltretowania własnych trzewi przez niego samego, oczywiście.

– I mam uwierzyć, że ty to przewidziałeś?

Mężczyzna roześmiał się szczerze, czym poniżył Olyannę jeszcze bardziej.

– Ja tego nie przewidziałem, ja tego dokonałem. Już tygodnie temu zadbałem o to, żeby ten człowiek, który nigdy nie wylewał za kołnierz, był właśnie na tym piętrze. I zadbałem, by pokusa czekała na niego w trudnej chwili, kiedy żadne oczy na niego nie patrzą i nie powstrzymają go przed tą drobną dozą relaksu.

– A jeżeli by się jednak nie napił?

– Hmm... Podejrzewam, że wtedy nie rozmawialibyśmy tu teraz, tylko wszczęłabyś alarm, jak prawdziwa niewiasta wołająca o pomoc.

Zakłopotana spuściła wzrok, poczuła się jak kompletna idiotka. Czego się spodziewała, pędząc do włamywacza? Że go zagada na śmierć?

– Więc co ze mną zrobisz? – wydusiła wreszcie.

– Zależy, co mi teraz odpowiesz. Olyanno, czemu tu przyszłaś?

– Widziałam cię na zewnątrz...

– Och, nie igraj ze mną. Każdy zmysł musiał krzyczeć do ciebie, że to niebezpieczne. Masz w tym budynku dokładnie siedemnastu uzbrojonych, przytomnych ludzi, którzy mogliby zaszтурmować to skrzydło i poszatковать mnie za mój błąd i zlekceważenie ryzyka, że ktoś wracający tak wcześnie mógł mnie dostrzec. Dlaczego przyszłaś tu pomimo tego wszystkiego?

Dziewczyna spuściła wzrok i przygryzła wargę, zastanawiając się, jak ubrać prawdę w słowa. Wzięła głęboki oddech.

– Bo inaczej bym nie zobaczyła, co się właściwie stało, i kolejna rzecz ominęłaby mnie w moim życiu. Bo byłam kukłą na balu, a podjęcie własnej decyzji to forma pokazania samej sobie, że nią nie jestem. Bo byłam ciekawa, co robisz. Założyłam, że nie jesteś zabójcą, skoro obecnie prawie nikogo ważnego nie ma w posiadłości.

I dlatego, że nie powinnam tego robić.

Złodziej pokiwał głową, a w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– Całkiem dobre rozumowanie. A do tego prawie udało ci się do mnie podkraść w tej różowej konstrukcji.

Olyanna spłonęła rumieńcem, zmieszana, i przyglądała jeden z fałdów sukni.

– Czasem potrafię być cicho – wydusiła, a mężczyzna przysunął się tak blisko, że czuła ciepło jego oddechu.

– Czy będziesz cicho dla mnie? – szepnęła.

Wciągnęła jego zapach. Pachniał zadbaną starą skórą i drewnem. Jakimś cudem wytrzymała natarczywe spojrzenie srebrnych tęczówek i zdołała nie odwrócić wzroku.

– Nie. Będę cicho, bo i tak nikt mi nie uwierzy, a mają mnie za wystarczający problem – powiedziała powoli, próbując brzmieć jak osoba pewna siebie.

Ku jej rozczarowaniu mężczyzna odsunął się powoli i poprawił włosy.

– Cieszę mnie twoje słowa, szczerze, choć przykre – skwitował i zerknął na drzwi. – Miło było cię poznać. Nie spodziewałem się kogoś... interesującego.

Skinęła w odpowiedzi głową, a on niespiesznie ruszył w stronę wyjścia.

– Wybacz mi, ale... obowiązki wzywają. Pora na ewakuację. –

Uśmiechnął się kącikiem ust i położył dłoń na klamce uchylonych drzwi.

– Poczekaj! – wykrztusiła po chwili wahania i zbliżyła się do niego szybkimi, nerwowymi krokami.

– Tak, pani? – zapytał drwiąco.

– Czy jeszcze cię zobaczę? Jak masz na imię?

Mężczyzna stłumił parsknięcie śmiechu, ale zaraz się uspokoił i zmierzył ją wzrokiem.

– Żeby mnie znowu zobaczyć, musiałybyś... Hm. Uczynić siebie użyteczną dla osoby z takim stylem życia jak ja. Wiesz, jakoś nie wpisałem na listę priorytetów mieć wśród przyjaciół arystokratki.

Już chciał się ponownie odwrócić, ale ona zbliżyła się o kolejny krok.

– A gdybym była użyteczna, to co?

Na sekundę rozchylił w zdumieniu usta i uniósł brew, jakby wpadł na jakiś pomysł, ale zaraz się skrzywił. Westchnął, zbierając myśli. Zlustrował ją raz jeszcze, od wilgotnych brzegów sukni po czubek misternego koka.

– To przybyłbym za rok i wystosował ofertę pracy, jak mniemam – wydusił.

Olyanna się odsunęła, usatysfakcjonowana odpowiedzią.

– W takim razie bezpiecznej drogi – powiedziała formalnym tonem. – I do zobaczenia za rok...

– Etnisie – dokończył za nią, ale zmieszany odwrócił na chwilę wzrok. – Możesz zwać mnie Etnisem.

Posłała mu niepewny uśmiech. Etnis się uklonił, puścił oczko i wyszedł na korytarz. Kiedy tylko przekroczył próg gabinetu i zamykał drzwi, widziała, jak wyraz jego twarzy kompletnie zobojętniał i zamienił się w czyste skupienie.

Została sama w pomieszczeniu, w którym mrok rozpraszało światło niewielkiej kuli leżącej na biurku. Podeszła i podniosła

przedmiot, by zbadać go dokładnie. Potrząsnęła kulą, a ona zgasła. Ścisnęła ją mocno i udała się do wyjścia, by również umknąć, zanim strażnik się ocknie.

Tej nocy zyskała pewność, że nie zostanie nudną żoną Konfederaty. Nie wiedziała, co dokładnie zrobi.

Obiecała sobie jednak, że piekło jej matki dopiero się zacznie.

Skazani na życie
Copyright © Marta Bacic
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover and inside art by Amona; HD|Adobe Stock
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2025 r.

książka ISBN 978-83-7995-827-6

ebook ISBN 978-83-7995-828-3

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Paulina Kalinowska

Korekta: Joanna Błakita

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Ewelina Nawara

Skład i typografia: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

sekretariat@inanna.pl

www.inanna.pl

KSIĄŻKĘ I EBOOK NAJTANIEJ KUPISZ NA: MADBOOKS.PL

W świecie, gdzie puszcza włada leszy,
w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród
chat przemykają zmory i strzygonie,
młodziutka Venda musi stanąć na straży
bezpieczeństwa mieszkańców
Wilczej Doliny.

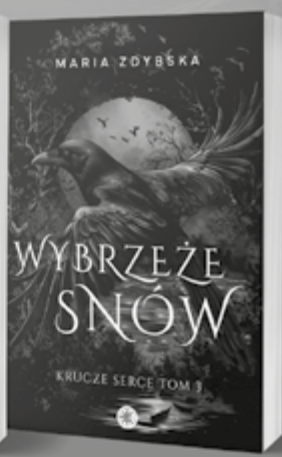
Fantastyczna seria pełna
słowiańskiego uroku!

#POLSKAFANTASTYKA
#LITERATURASŁOWIAŃSKA



Czasami dwie dusze łączy
więź silniejsza niż śmierć.


#POLSKAFANTASTYKA
#YAFANTASY



Księżniczka Espery znika w tajemniczych okolicznościach, na krótko po odrzuceniu oferty poślubienia Wielkiego Seneszała Iskandary. Kruchy pokój między zwaśnionymi państwami zawisa na włosku.

#fantasy #polskafantastyka





Czy przybysz z gwiazd
pokocha dziewczynę z Ziemi?

#ROMANTASY
#PRZYBYSZEEZGWIAZD



 Inanna

Dwa królestwa.
Dwa zwaśnione ze sobą rody.
I tajemnica Dzieci Słońca i Dzieci
Gwiazd, która je łączy!

#ROMANTASY



 Inanna

W świecie, gdzie magia splata się z naturą, a dusze nie umierają, lecz odradzają się w nowych ciałach, Cyris pragnie wolności i prawdziwej miłości.

#ROMANTASY



 Inanna